Nr. 52 Rok 4 Boże Narodzenie 1943. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



MADONNA
Z DZIECIĄTKIEM I ŚW. JAN

FRAGMENT OBRAZU SANDRO BOTTICELLIEGO

Św. Mikołaj wśród lotników

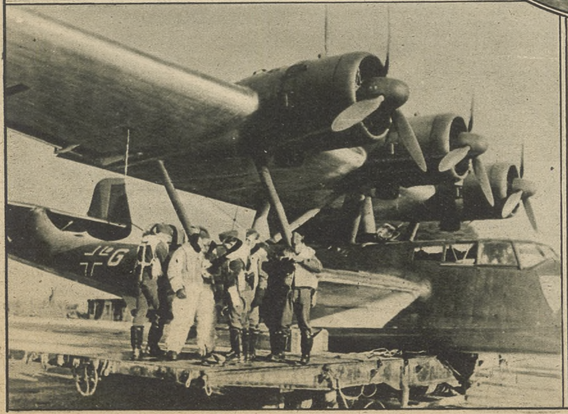


Na jedno z lotnisk niemieckich, położonych nad wybrzeżem morza Śródziemnego, zawitał niespodziewanie miły gość z nieba św. Mikołaj. Komendant lotniska przywiózł go na motocyklu na miejsce gdzie obsada samolotu, zabawiała się różnymi grami towarzyskimi oczekując na rozkaz do lotu. Radosne okrzyki lotników powitały św. Mikołaja.



W podzięce za pełen worek darów, ofiarowali lotnicy św. Mikołajowi skonstruowane przez siebie, zabawki dla dzieci, z prośbą, by św. Mikołaj zabrał je w dalszą podróż i wręczył dzieciom niemieckich rodzin w Rzeszy. Równocześnie chcąc sprawić przyjemność św. Mikołajowi zaprosili go lotnicy na małą przejażdżkę samolotem nad morzem Śródziemnym.

Poniżej: Św. Mikołaj z radością przyjął zaproszenie do lotu w błękitne przestworza.





Na prawo: Na futro włożono św. Mikołajowi ratowniczą kamizelkę do pływania, a następnie silne dłonie wciągnęły go przez drzwi do kabiny komendanta.





Powyżej: Służba jest służbą. Samolot otrzymał niespodzianie rozkaz do lotu nad obszary zajęte przez nieprzyjaciela. Przesyłając ręką pożegnanie, stoi św. Mikołaj samotny w pustym polu i patrzy na szary samolot, okrążający jeszcze raz przed odlotem lotnisko.

Na lewo: Zanim się św. Mikołaj zorientował, co się z nim dzieje, silne ręce uniosły go w powietrze i w marszu triumfalnym zaniosły do samolotu, w którym niezwykły gość odbył swój pierwszy lot.

Poniżej: Św. Mikołaj wysiada z samolotu oszołomiony jeszcze szybkim lotem. Piękna była ta podróż powietrzna! Teraz musi się udać św. Mikołaj na łódź motorową, która go odwiezie z powrotem do portu.



Fot.: SS. P. K. - Apfel

UROK EGZOTYCZNEGO TAŃCA



TANIEC MIŁOŚCI

Duch lasu przybrał postać księcia i w pełnym upojenia tańcu miłości oczarował księżniczkę, tak że już nigdy go zapomnieć nie mogła.

Dzikie albo też na pół dzikie narody tańczą w chwilach decydujących w swojej egzystencji, tj. wtedy, kiedy się smucą i odczuwają ból, albo kiedy się weselą. Tańczą przy uroczystościach pogrzebowych, tańczą — składając ofiary nieśmiertelnym bogom — prosząc ich o łaski. Najbardziej oryginalnymi tańcami, odznaczają się Malajowie, ten piękny szczep Oceanu Indyjskiego, zamieszkujący Syjam, półwysep malajski i wszystkie wyspy Archipelagu: Borneo, Sumatrę, Jawę i Bali. Oczywiście, że specjalną atrakcję stanowi tutaj oryginalny i efektowny typ samych tancerek, poza tym fascynuje ich dziwny strój, niezwykle bogaty i odznaczający się niespotykanymi nigdzie ozdobami. Pod tym względem wiodą prym tancerki z Sjamu, noszące na głowie dziwaczne korony, misternie rzeźbione, oraz tancerki z Kambodży, które swego czasu zyskały sobie uznanie całego świata, występując w różnych krajach pod artystycznym kierownictwem króla Kambodży Sisowata.

Tańce, które można ujrzeć na wyspach malajskich, posiadają charakter bądź to produkcji wyłącznie artystycznej, bądź też są to pląsy o charakterze religijnym, na co wskazują też niezmienne od wieków ruchy i „pas“, bądź też w końcu tańce te wywodzą się z uroczystości, dziękczynnych po wygraniu wojny. Oczywiście, że dla nas, Europejczyków, widok ten niezwykły i dziwaczny, który pozostaje dla nas często tajemnicą. Co oznaczają np. strzały w kołczanie noszone przez główną tancerkę na plecach? Co symbolizują liczne ozdoby, nakładane na szyję kołnierze i wiele innych szczegółów stroju? Jako laicy możemy tylko odnieść ogólne wrażenie z tych tańców, wykonywanych przez bardzo urocze dziewczęta malajskie, które mimo swoich azjatyckich rysów, robią wrażenie uroczych, pięknie poubieranych laleczek, które prawie bezwiednie wykonywują według odwiecznego rytuału ruchy taneczne. Gdy dodamy do tego jeszcze dziwną i oryginalną muzykę, będziemy świadkami naprawdę niezwykłego widowiska.

Na prawo:

MODLITWA DZIĘKCZYNNA

Księżniczka odnalazła swego ukochanego; zaczarowane drzewa leśne stały się z powrotem pięknymi dziewicami i w tańcu, nacechowanym uroczystym rytmem, dziękują bóstwom za wybawienie

Poniżej w kole:

PRZED SPOTKANIEM

Do błąkającej się między drzewami księżniczki, zbliża się duch lasu, który również nie mógł zapomnieć uroczej dziewczyny. Niebawem spotkają się.

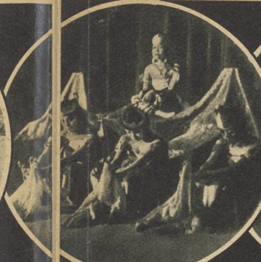
Poniżej na lewo:

PRZYGOTOWANIA DO UROCZYSTOŚCI ŚWIĄTECZNEJ



ORKIESTRA

Podczas gdy mężczyźni grają prolog muzyczny na gitarach, flecistki przygotowują się przez duchowe skupienie do gry; one to bowiem uroczystymi, prastarymi melodiami wtórują do religijnych tańców w świątyni.



PRZEBUDZENIE SIĘ DNIA

Pierwsze promienie słońca obudziły boginię zorzy porannej. U jej stóp śpią jeszcze duchy poszczególnych godzin dnia. W rękach trzymają welony, które symbolizują mgłę unoszącą się o świcie z nad rzek i łąk.





Powyżej na lewo: TANIEC KWIATÓW

Również i one obudziły się i pozdrawiają nowy dzień. Jeden kwiat po drugim otrząsa sen z powiek i spieszy ku słońcu.

Powyżej na prawo: BOGINI ZORZY PORANNEJ

Jak urzeczone patrzą oczy bogini na budzący się świat. Głębokie, niezbadane i tajemnicze jest jej spojrzenie, tak jak niezbadane i nieprzeniknione są losy, jakie przyniesie ludziom dzień.



Na prawo u góry:

NAJMŁODSZA TANCERKA

Dziecko jeszcze — a jednak już znakomita tancerka. Jakaż dojrzałość wyziera z jej twarzyczki. Dziewczynka ta ma zaledwie 10 lat, ale w jej niezwykle harmonijnych rysach maluje się wcale nie dziecięca zaduma.









Poniżej w kole:

DRZEWA

Młode tancerki wyobrażają drzewa lasu, w którym księżniczka po długim szukaniu odnajdzie wreszcie swego ukochanego. Niby w polśnie siedzą one zaczarowane i czekają na moment oswobodzenia od czaru.



Poniżej:

OPUSZCZONA

Przez lata całe błądziła księżniczka w stroju łowieckim po lasach, w poszukiwaniu za księciem. Z wysuniętą naprzód ręką szła ostrożnie wśród ciemności nocy.

Fot. Witzleben i Peters



Od kiedy w nowiuchnym sosnowym pudle, pomalowanym „na mahoń", wyniesiono matulę z chałupy, dzieci bardzo były zaniepokojone jak to będzie w te święta z choinką.

Jak dotąd malula zawdy w czas o choince myślała. Lepiła kolorowe światy i długie, długie srebrne łańcuszki. Wydmuchiwała jaja i ze skorupek robiła cudaczne tryndałki i fidrygałki. Wystrzygała z papierków czerwone koguciki, różowe aniołki, złote mieniące się gwiazduchny i jeńsze śliczności. A samo drzewko musiało sięgać powały i rozłożystymi gałęziami zastawić co najmniej połowę izby. Świeczek też na nim nie brakło, oj nie. Jarzyły się i tu, i siu jaże oczy piekły.

Ale oto tera święta były już tuż, tuż za pasem, a o choince ni widu, ni słychu, więc Józia wzięła na odwagę i spytała się ciotki:

— Wdzies ta fointa?

Najstarsza była z dzieci, ale że to właśnie szło jej na siódmy roczek i ząb jej wyleciał na samym przedzie, więc szepleniła niewyraźnie.

— A juści — wzruszyła ciotka ramionami. — Ot czego się to bęcwałom zachciewa? Jo ta nie mam ani czasu, ani głowy myśleć o choince i o cackaniu się z wami. Dobrze jak przy was obrządzę, żeby was wszy żywcem nie zjadły. Ale już co do zabawy to szukajta sobie kogo jeńszego. Trudno! Na te święta obejdzie się bez choinki . . .

— Bez fointy . . .

I trzy pary oburzonych błękitnych oczął wybałuszyło się na ciotkę.

Nie, nie. Taka rzecz była nie do pomyślenia. Taka straszna rzecz nie może się dzieciom przytrafić. Nie może. Nie może.

No i Józia natychmiast zaczęła układać sobie w głowie jak będzie.

A jak już wszyćko dokumentnie sobie ułożyła, to odgartała włosy z uszów Michałka i Kasi i pocichuteńku szeptała:

— Same po fointę do lasu puńdziemy i dobrze będzie.

— Puńdziemy! puńdziemy — klaskały w dłonie młodsze bachory.

Powiedziane — zrobione.

I na cóż tu dłużej czekać? Więc cichoszaa, jak tylko ciotka poszła z wiadrami po wodę do studni dzieciaki wymknęły się chyłkiem z izby, ujęły się za rączęta — żeby się gdzie nie pogubić po drodze — skręciły za węgieł chałupy i nuże pchać się przez zawiane śniegiem pola w stronę boru.

A nie łacno było drogę do lasu zmylić. Długim, wąskim, granatowym pasem słał się hen, hen daleko na widnokręgu. Nikogo nie trza się było pytać o drogę, jeno iść i iść przed siebie. Aby prosto, aby dalej, aby jeszcze dalej.

Szły.

A taki wiatr dmuchał, że zdawało się iż lada chwila powywraca dzieciaki, ale walczyły dzielnie z żywiołem. Z główkami pochylonymi na piersi pchały się naprzód i naprzód.

— Bieżaj! Bieżaj! Nie marudź — przynaglała Józia swą trzyletnią siostrzyczkę.

Dzieci chwilami ginęły z oczów. Zapadały się w śnieg po pachy, lecz wygrzebywały się jakoś.

Oj dzieci, dzieci co wy też robiła?

Gdyby je kto był spotkał to by się krzyżem świętym przeżegnał:

— W imię Ojca i Syna... i rozeźlił by się i tupnął nogą i wrzasnął:

— Marsz do domu, smarkacze!

Ale — chwalić Boga — nigdzie żywej duszy widać nie było. Na polach, jak okiem sięgnąć, pusto było jak wymiótł. Nie miał się kto rozeźlić i Józi na przeszkodzie stanąć.

A zimno też było nie byle jakie. Bachory, licho odziane, trzęsły się jak listki osiki.

— Palice mi całkiem zgrabiały — kłapał zębami pięcioletni Michałek i chciał nawrócić do domu.

Dostał klapsa od Józi.

— Ty, głupi, nie wydziwiaj — surowo napomniała braciszka. — Fcesz fointę, to trzeba iść dalej . . .

Szły.

Na polach było pusto — to prawda — ale cicho to wcale nie było, oj nie. Wicher tak jazgotał w powietrzu jakby kto blaszaną grzechotkę, napełnioną grochem, potrząsał nad samym uchem.

— Kobyła Sikory znowuj ucichła— nadsłuchiwał mały Michałek, gdyż górą, gdzieś bardzo wysoko dudnił nieustanny warkot, coś jakby tętent pędzącego konia.

Od wschodu ukazała się ciemna poszarpana ołowiana chmura. Pociemniało, a wszystko wokoło powlokło się jakąś dziwną, siną, trupią barwą.

Coś zaczerniało przed dziećmi.

— Może fointa — ucieszyły się, ale to jeszcze nie była choinka.

Parę wierzb rosochatych wznosiło ku niebu swe klekocące na wietrze nagie piszczele.

Po chwili sine twarzyczki dziecięce sieczone były, jak nożem, ostrymi lodowatymi soplami zmarzniętego śniegu.

— Boli, boli — skarżyła się mała Kasia, zasłaniając łokciem swą pokrwawioną buziulkę.

Więc dla zachęty Józia piskliwym głosikiem — żeby przekrzyczeć wichurę — zaczęła opowiadać rodzeństwu o tej właśnie choince, po którą idą i która czeka na nich pod lasem.

— Wielgachna — o tyla, tyla — rozkładała szeroko rączęta. — A cała ze śrybła. Wszędy śrybło . . . A nad nią sto gwiazdek migoce. A na niej zabawek ile jeno dusza zapragnie . . .

— I lalet?

— A jakże.

— I kuni?

— A jakże.

— I pudełeczków.

— A jakze. A pod choinką leżą puszyste pierzyny . . .

— Na ozgrzewtę — uśmiechnął się Michałek.

— A na cózby? — potwierdziła Józia.

I nagle wszystko stało się jak było powiedziane.

Ogromna srebrna choinka zamajaczyła pod lasem. A nad nią sto gwiazdek migoce, bo już się dobrze ściemniło. Choinka ramiona obwieszone zabawkami wyciąga do dzieci, a pod nią pierzyny . . .

— — — — — — — — —

No i rankiem ludzie idący do miasta po zakupy, znaleźli troje dzieciaków zmarzniętych na bryłę lodu zakopanych w śniegu pod choinką.

WĘCH CZYLI ROZMOWA CZŁOWIEKA Z PSEM

Człowiek. Tak, kochany piesku od tysięcy lat żyjemy z sobą razem, przywykliśmy do siebie i rozumiemy się doskonale. Znam ja dobrze twój, nie obraź się, ubogi pogląd na świat.

Pies. Istotnie was, ludzi, znam na wylot, z najmniejszego poruszenia waszego odgaduję bez błędu, co zrobicie w następnej chwili. Ale mój drogi panie, łudzisz się bardzo, jeżeli myślisz, że rozumiesz moją duszę.

Człowiek (z przekąsem). Czyżby była aż tak skomplikowana?

Pies. Wąchasz, sprawa jest bardzo prosta. Dusza . . .

Człowiek. Co to znaczy „wąchasz"?

Pies. Ach, przepraszam cię bardzo, powinienem był powiedzieć „widzisz". Zapominam wciąż, że wszystko chcielibyście widzieć i do waszej zdolności widzenia naginacie wasze myśli i słowa. Dusza wasza jest duszą wzrokową, myślicie i rozumujecie obrazami. Mogę coś o tym powiedzieć bo mam także oczy i mogę dostrzec to, co ty widzisz, choć z natury jestem krótkowidzem. Ale sfera wrażeń węchowych, w której ja żyję, jest dla ciebie zupełnie niedostępna. My myślimy i czujemy inaczej, nasze wrażenia zmysłowe są bogatsze od waszych i dlatego nie mów, że nas rozumiesz.

Człowiek. Ech, czyżby niewielka przewaga jednego zmysłu mogła stanowić o zasadniczej różnicy poglądu na świat? Przyznałeś przecież, że masz oczy gorsze od naszych, ale zarazem twierdzisz, że możesz dostrzec to samo co my, i że twoja krótkowzroczność nie przeszkadza ci w rozumieniu nas. Zapominasz, że i my posiadamy węch, że uruchomiliśmy cały wielki przemysł perfumeryjny. Z łatwością mógłbym odwrócić twoje rozumowanie. Nie wiem, jak tam u was z logiką, ale z naszego ludzkiego stanowiska przeczysz sam sobie.

Pies. Logikę mamy wprawdzie dokładnie tą samą co i wy, ale nie węszę w moich słowach żadnej sprzeczności. Nie orientujesz się węchonośnie, chciałem powiedzieć widocznie jak olbrzymia jest między nami różnica w rozwoju zmysłu powonienia, cała olbrzymia dziedzina wrażeń dla ciebie po prostu nie istnieje. To tak jak różnica, między człowiekiem o normalnym wzroku a człowiekiem prawie zupełnie ślepym, który od biedy odróżnia światło od ciemności, ale który nie podejrzewa, że przedmioty mogą posiadać kształty i barwy. Gdy przychodzisz do domu wiem od razu gdzie byłeś i z kim rozmawiałeś. Czuję moim węchem, czy jesteś chory, czy zdrów, a gdybym znał medycynę, mógłbym doskonale określić rodzaj twojej choroby. Wiem, kiedy jesteś wzruszony, kiedy boisz się lub cieszysz, kiedy kłamiesz, a kiedy mówisz prawdę. Każde najdrobniejsze twoje przeżycie wpływa na funkcje twego ciała i to uzewnętrznia się w zmienionym zapachu. Przed ludźmi udaje ci się często ukryć twe prawdziwe uczucia, bo panujesz nad swymi ruchami, słowami i wyrazem twarzy. Ale nie możesz zapanować nad twymi zapachami i dlatego dla mnie zawsze jesteś księgą otwartą. Gdyby dla ciebie wszyscy otaczający cię ludzie byli przewąchani, tj. chciałem powiedzieć przejrzyści, twój jak go nazywasz „pogląd" na świat zmieniłby się bardzo. Zupełnie inny stałby się twój stosunek do ludzi.

Człowiek. No, no, nie przesadzaj. Wydaje mi się, że tak znowuż nadzwyczajna wrażliwość twego nosa jest na pewno przesadą! Wiem z własnego doświadczenia, że najsubtelniejszy nawet węch nie może dostarczyć i setnej części tych wrażeń, jakie daje wzrok, a pod względem wzroku, jak sam przyznałeś, nie możesz z nami konkurować. Więc jednak w porównaniu z naszym twój pogląd na świat musi być bardzo ubogim.

Pies. Wciąż podnosisz, że pod względem węchu istnieje pomiędzy nami tylko różnica stopnia, ale że nasze przeżycia węchowe są ci w zasadzie znane. Otóż mylisz się bardzo! Subtelność naszego węchu stawia cały świat w nowej woni, chciałem powiedzieć w nowym świetle. Nasz węch odkrywa nam takie własności ciał, które dla ciebie wcale nie istnieją, a z którymi możesz najwyżej zapoznać się z podręczników chemii i fizyki. A my na tych własnościach budujemy nasz „powęch" na świat, tj. nasz pogląd na świat.

Człowiek. Mówisz mi bardzo ciekawe rzeczy. Nie wiem tylko, czy tak jest w istocie, czy węch wasz jest czymś aż tak doskonałym.

Pies. Ja osobiście nie mogę poszczycić się specjalnym węchem. Ale mój kuzyn Ralf, który służy w policji, mógłby cię przekonać od razu. On potrafi wykryć na chodniku ulicznym trop przestępcy, nawet w parę godzin później, choć od tego czasu przejdą tędy setki ludzi. Wykonano raz na nim takie doświadczenie. Pan jego układał na czystym papierze prostokątne kawałki drzewa świerkowego, które brał tylko szczypcami. Następnie umył ręce mydłem, wziął jeden kawałek do ręki na krótką chwilę i położył go z powrotem na podłodze. Wpuszczono Ralfa i kazano mu poznać, który kawałek był dotknięty. Gdyby Ralf umiał się śmiać, z pewnością parsknąłby śmiechem, że jemu, dorosłemu psu policyjnemu, dają do rozwiązania zadania tak dziecinne. Bez najmniejszego wahania schwycił kawałek dotknięty i przyniósł go swemu panu. Ale pan jego był niedowiarkiem, jak ty. Wziął on szczypcami kawałek drzewa, dotknął końcem palca jednego boku i położył kawałek na podłodze stroną dotkniętą w dół. Panowie założyli się, że Ralf nie pozna drewienka dotkniętego. Jednak kuzynek mój zakpił z nich, bo kilka razy z rzędu rozwiązał to zadanie prawidłowo. Próbowano dotknięty kawałek myć spirytusem, próbowano pokrywać punkt dotknięty różnymi olejkami pachnącymi, a nic to nie pomogło. Zawsze Ralf aportował kawałek prawidłowo. Dopiero gdy drewienko wygrzano w piecu w temperaturze 150 stopni znikł z niego zapach człowieka. Także i psy myśliwskie mają węch bardzo czuły. Dobry wyżeł w polu idzie górnym węchem, tzn. pędzi galopem z nosem podniesionym ku górze. W pewnej chwili wyżeł raptownie staje, zatrzymuje się nieruchomo w takiej pozycji, w jakiej znalazło się jego ciało w momencie poczucia tropu zwierzyny. Trudno jest nawet wyobrazić sobie, jakie małe ilości substancji woniejących pozostawia po sobie np. kuropatwa, która przebiegła w trawie. A jednak wyżeł reaguje na nie natychmiast.

Wyżeł w galopie nigdy nie potrafi wyczuć tropu, który przecina pod kątem prostym. Na to wrażenie jest zbyt krótkotrwałe. Wyczuwa go wtedy, gdy biegnie wzdłuż niego. Każdy pojedyńczy ślad jest zbyt słaby, aby pobudzić narząd węchowy, ale ponieważ podczas ruchu wzdłuż tropu kolejne ślady wciąż oddziaływują na nos, działania te sumują się. Dlatego też trop, który może być wykryty, koniecznie powinien posiadać pewną minimalną długość, wynoszącą w każdym razie wiele metrów. Jednocześnie skoro raz trop został wykryty, pies pędząc dalej wzdłuż niego może z łatwością odczuć czy siła zapachu wzmaga się, czy maleje. W tym pierwszym przypadku pies pędzi ku zwierzynie, w tym drugim — w kierunku przeciwnym. Różnica siły zapachów dwóch sąsiednich śladów jest bardzo mała, ale na przestrzeni kilkudziesięciu metrów staje się znaczna i wyżeł poznaje ją nieomylnie. No więc? Przekonałeś się, że nasze wrażenia zmysłowe są doskonalsze od waszych?

Z encyklopedii „Świat i Życie".

PODRÓŻ W DZIECIŃSTWO

EWA MORIARTI



UCIECZKA DO EGIPTU

Fragment obrazu z ołtarza klasztoru OO. Paulinów na Skałce w Krakowie, pochodzący z 1511 roku, pędzla Hansa von Kulmbacha.

Fot. Kołowiec

Nie było Wigilii, ani opłatka. — Nie było także i drzewka. A raczej, było ich mnóstwo — rosły sobie w zgodnych społecznościach, na zboczach Szczebla i Lubogoszczy, kłując ciszę żywicznymi igłami, na których stygmat lodu zastygł w skrzeniach, jak skruszony boraks — tylko trudno było do nich dobrnąć, przez podwójne zaspy: śniegu i lat, gdy ktoś, tak jak Urszula, był ciężko ranny w serce.

Pokój był dziwnie pusty. Kontury przedmiotów wsiąkły w mrok i zatarte, wydarte z kręgu spojrzeń, konały gdzieś — poza rzeczywistością — żyjąc życiem pełnym tajemnic, niedostępnym ludzkiej tęsknocie. Ściany zaś, zwyczajne cztery ściany, wśród których tak beztrosko rozbrzmiewał śmiech Krzysztofa, zbiegły się dziwnie blisko, tłocząc się na Urszulę, jak gdyby lada moment zgnieść ją miały w śmiertelnej pułapce. Pełna trwogi, miotając się na oślep, dopadła wreszcie okna świecącego perłowo w mroku, jak prostokątne wyjście z koszmarnej samotności. Przytuliła czoło do szyby, zielonkawej, jak tafla lodu, i patrzyła wskroś mgły oddechu, skroplonego na szkle matem rosy przejrzystej, jak gaza, na pejzaż zaokienny, swobodnie rozpostarty pod oślepłego nieba zgaszonym, białym okiem.

Ziemia też była biała, tą czystą, martwą bielą, bez żadnych refleksów, jaką na świecie spotkać można tylko wyjątkowo, w kwiecie róży lub wieczornym śniegu. Leżała już za oknem lekko wklęsłą, łagodną krzywizną, jak wigilijny półmisek z najbielszej porcelany, na którym płaskie miasto — karp śnięty — szarzało nieruchomo, bijąc w nozdrza kłębami pary.

Na skwerku nikłe krzewy stały, tonąc w obfitej pianie i czekały cierpliwie, aż mróz-balwierz, ostrzący na brzegach szyb brylantowe ostrze swej brzytwy, przystąpi do mistrzowskich zabiegów, z których wyjdą — bezkształtne chochoły — w niezrównanej, świątecznej krasie.

Poza Urszulą wszystko było proste i zrozumiałe. Rozterka mieszkała w niej samej, czaiła się w rozdrażnionych nerwach i zmieniając aspekty zjawisk doprowadzała często, zupełnie bez powodu, do konfliktów i starć bolesnych, z których obydwoje — i Krzysztof — i Urszula — wychodzili coraz ubożsi.

I tym razem także, nie było żadnej, konkretnej przyczyny do kłótni i rozstania. Może ta jedna, comiesięczna data... Ale któżby o niej pamiętał w szalejącym zamęcie nerwów.

— Za mało mnie kochasz! — skarżyła się Urszula, a łzy w jej oczach dojrzewały soczyste i duże, jak srebrzyste, oblodziałe tarki.

Krzysztof śmiał się, nieświadomy swej brutalności.

— Cóż chcesz! Inaczej nie umiem! Dotychczas ci to przecież wystarczało!

Zraniona głęboko w jakichś niewiadomych, do przesady subtelnych splotach swojej psychiki, zachnęła się boleśnie.

— A teraz już mi nie wystarcza! Wiesz? I wolę zostać sama, niż męczyć się z tą świadomością...

I dużo jeszcze było innych słów, równie bezmyślnych, raniących i okrutnych. (Niszczyć! Niszczyć!).

Krzysztof z niezgrabnością właściwą mężczyznom (i niedźwiedziom!) chciał zwalczyć łzy żartami, ale w końcu zabrakło mu żartów. Oczy mu pociemniały, jak woda przed burzą, a szczęki zwarły się mocno, w postanowieniu surowym i twardym.

— Jak chcesz!

Ostatnim słowem zrzucił na jej wątłe, wstrząsane łkaniem barki całą odpowiedzialność — i poszedł!

Ta scena rozegrała się przed kilku dniami, i Urszula w międzyczasie, przecierpiała już całe piekło, beznadziei, żalu i męki — ale cóż jej to mogło pomóc, gdy świadomie trwała w niechęci.

Przez zielonkawą szybę, jak przez ściankę akwarium, patrzyła w pustkę śnieżną, jak we własne, tajemne głębie.

— Nie kocham! — kłamała uparcie, i wszystko w niej najeżało się wrogo.

— Nie chcę! — tupał w niej upór, jak niesforne, złośliwe dziecko.

W tej chwili chodnikiem pod oknami, przeszła szybko postać kobieca w deszczowej pelerynie — jak anioł z celofanu — dzierżąc przed sobą drzewko.

... Zapachniało w pokoju lasem ... autentycznym, świerkowym borem, w którym w noc wigilijną cienko szczekały lisy. ...Było to dawno ... W Gorcach!

Las zstępował ze szczytów, z podobłocznych, wspaniałych dali i awangardą smreków wałęsał się po wsi; warował pod ścianami małych, góralskich willi, jak łagodne, dyszące zwierzę; ciemnymi ozorami gałęzi lizał szczerby balkonów, do drzwi się pchał nachalnie, by w te Godnie, radosne święta przestąpić je nareszcie zielenią podłaźników i gotykiem smukłych choinek.

Choinka Urszuli była wielka, aż pod sam sufit. Rosły na niej, w ślicznym zamęcie, złote orzechy; czerwone jabłka; karmelki w strzępiastej bibule; nakrapiane muchomory; barokowe, śmieszne aniołki; szklane kule i kolorowe świeczki. Na najwyższej gałęzi, tuż obok rozczochranej komety ze lśniącego złociście sychu, tańczył wesoło, na czerwonej nitce, świat z opłatka — a bocian z rozdziawionym szeroko dziobem, chciał połknąć szklaną bańkę, bo go światłem raziła w oczy.

Urszula się uśmiecha, najszczęśliwszym uśmiechem dziecka. W szeroko rozwartych oczach, ma w tej chwili promienny zachwyt, jakby gwieździsty refleks sztucznych ogni płonących z trzaskiem na choince wielkiej, jak wszechświat.

To już nie są wspomnienia: martwa wiedza o minionych latach. To realna i żywa przeszłość: smak cukierka na ruchliwym języku — wzrok mdlejący od orgii barw — znane głosy świątecznych gości...

Urszula zatrzymuje dech w piersiach, by nie spłoszyć wizji dzieciństwa. Świadomość własnego bogactwa olśniewa ją, jak raca.

Więc przeszłość śpi w niej czujnie — jak trawy pod śniegiem — rzeczywista i niezniszczalna, gotowa każdej chwili odkiełkować i zazielenieć?

Więc życie, to nie tylko, w rwącym pędzie migające wycinki teraźniejszości, ale zwarta, cudowna całość, w której można poruszać się dowolnie, wybierając radosne stacje?

To odkrycie utwierdza ją w szczęściu we wszystkich dobrych i szczęśliwych momentach istnienia, które wiecznie, jak żywe źródła, wytryskają poczuciem mocy, krzepiąc serce w chwilach rozterki. A Urszula bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje dzisiaj oparcia. Zakłamana dumą i gniewem uwikłała się beznadziejnie w złej, dławiącej sieci cierpienia i nie umie się z niej wyplątać. Instynktownie wraca więc pod choinkę i zwinięta w kłębek na poduszkach tapczanu, nasycona smakiem łakoci, dorabia sobie w myśli fantastyczne historie do słów niezrozumiałych, którymi dorośli, nad obrazkami taroka przerzucają się poważnie i bez sensu.

... Tuz ma spodnie ze złotej lamy i haftowaną kryzę.

... Dama dała mu różę.

... Król nie widział. To całe szczęście!

Bocian na choince ziewa ... ziewa ... Za chwilę uśnie!

I Urszula prawie zasypia.

Nagle ...

... skoczna, gromka kolęda uderzyła pięścią o szyby. W głębi śnieżnej, grudniowej nocy skrzypce, basy i młode głosy hałasują na chwałę Bożą. W ciemnej otchłani okna trzejkrólewska gwiazda, obraca się ... wiruje ... płonie! Zjawiskowa, jak sen, piękniejsza ponad wszystko, czego doświadczyć można w ramach szafującego zachwytem dzieciństwa, zeszła wprost z firmamentu, by — buchając pieśnią, jak żarem — noc podpalić łuną wzruszenia! Więc się Ula ratuje krzykiem:

— Kolędnicy, mamusiu!! Szopka!!

Wtoczyli się do kuchni, ośnieżeni, rozśpiewani, uskrzydleni burymi cuhami i naiwną góralską kolędą. W jednej chwili zrobiło się cudownie ciasno, strasznie wesoło — i ...

i coś prysło, jak szklana bańka, kiedy strącona z drzewka upadnie na podłogę — bo oto oparli o ścianę cud-gwiazdę ... oblepioną zwyczajnym pergaminem, ze zdmuchniętą we wnętrzu świeczką.

Pierwsze rozczarowanie w głąb zapadło charakterystycznym posiewem nieufności i rosło wraz z Urszulą zaćmiewając jej każdą radość.

Urszula stoi cicho, nasłuchując dalekich głosów. Coś się w niej rozwiązuje, wyjaśnia i dopełnia. Teraz już wie na pewno, że to nie Krzysztof winien, tylko jej uporczywa niewiara w jego miłość, jej czujna podejrzliwość, odradzająca się nieustannie, z dawno zapomnianego urazu dzieciństwa, bolesnym przekonaniem, że wszystko co piękne i szczęśliwe jest podstępem, pozorem, kłamstwem.

Uświadomienie źródła wyzwala ją z choroby. Jest znów radośnie ufna i tkliwie zakochana. Otoczenie, przed chwilą wrogie i okrutne jak izba tortur, przygarnia ją przyjazną gwarancją bezpieczeństwa. Noc biała i puszysta, jak olbrzymia kula dmuchawca, chwieje się za oknami w tchnieniach wiatru, który z niej strąca lotne, zwiewne nasionka śniegu.

Oczy Urszuli tańczą w balecie gwiezdnej bieli. Wirują niestrudzenie ... cicho płyną ... trzepoczą ... krążą ... by opaść wreszcie drobnym, misternym płatkiem śniegu na futrzany kołnierz zapóźnionego przechodnia, przechodzącego na ukos przez szeroką jezdnię ulicy. Urszula widzi tylko na tle bieli czarną sylwetkę, ale wie nieomylnie, że to Krzysztof powraca i nie czekając dzwonka biegnie do przedpokoju.

Jest to zaledwie kilka kroków. Droga znana tak dobrze, że Urszula przejść by ją mogła z zamkniętymi oczyma. By ją jednak przebiec tak młodo, tak radośnie, z taką ufnością, trzeba było odbyć wprzód długą i zawiłą podróż w dzieciństwo, gdzie, pod gruzami zdarzeń, zarzucona jak miś pluszowy, spała — tęskniąc do objawienia — utracona zdolność zachwytu.

PRZYGODY MÜNCHHAUSENA



Pośród osobistości o rozgłosie światowym, sława których przetrwała wieki, znajduje się nazwisko Karola Fryderyka Hieronima barona Münchhausena, urodzonego 11 maja 1720 roku, w majątku Bodenwerder w Hanowerze, zmarłego tamże w dniu 22 lutego 1797 r. Münchhausenowie wywodzili się ze starego szlacheckiego rodu w Saksonii dolnej, a wiadomość o nim pochodzi już z wieku IX, bo z 889 r. Największej famy doczekał się jednak baron Karol Hieronim Münchhausen, dzięki swym anekdotycznym opowiadaniom o rzekomo przeżytych przygodach, będących wspaniałym zbiorem kolosalnej fantazji autora i wykwitem niefrasobliwego zaiste humoru epoki. Jako paź w służbie księcia Antoniego Ulricha von Braunschweig, mianowany został przez tegoż podchorążym kawalerii w jego pułku „Braunschweig", otrzymując dyplom 11 grudnia 1739 r. Porucznikowskie szlify ozdobiły go już następnego roku, gdy stał garnizonem w Rydze. Walcząc w r. 1740 i 1741 przeciw Turkom, zdobywa Münchhausen sławną „turecką szablę", tak często potem wspominaną w „Przygodach", a przechowywaną pieczołowicie w majątku własnym Bodenwerder, w... szafie z ubraniami. Mistrz zmyślonych na poczekaniu historyjek wstępuje w r. 1744 w związek małżeński z Jakobiną von Dunten z Perniel, żyjąc z nią szczęśliwie, ale bezdzietnie w rodzinnych swych dobrach aż do dnia jej śmierci, tj. do roku 1790. Jako doskonały jeździec, sławny myśliwy, gorący wielbiciel swego świetnie wytresowanego rumaka, był baron Hieronim Münchhausen znanym daleko i szeroko, a jego wręcz niesamowity talent narratorski zjednał mu rozgłos o zasięgu światowym. Przy szklance i fajce bajał baron Hieronim niestworzone historie o swych przejściach i wyczynach, nie szkodząc nikomu ni w niczym swoimi cudownymi łgarstwami, będąc w życiu i interesach człowiekiem bardzo trzeźwo na świat patrzącym. Do najbardziej znanych opowieści Münchhausena należy makabryczna przygoda z „koniem przeciętym na pół". Oto Münchhausen zapędził się konno samopas do tureckiej twierdzy, a uciekając z niej przed pościgiem straży, już opuszczał mury forteczne, gdy spadająca z góry zaporowa krata żelazna w bramie wjazdowej dosięgła w ostatnim momencie grzbietu wierzchowca barona Hieronima, przecinając konia na dwie części tuż za plecami jeźdźca. Baron ucieka dalej, nic nie wiedząc o wypadku, aż dopiero uwagę jego zwraca niezrozumiałe pragnienie konia, pijącego u przydrożnej studni bez umiarkowania wodę, która z pluskiem wylewała się ze zwierzęcia. Później znaleziono brakującą część tylną rumaka nieopodal twierdzy, a połączona z ocalałą częścią konia za pomocą wiązań wikliną, zrosła się znowu, dając później miły cień z listków rosnących na gałązkach tych osobliwych szwów! Głośną jest również jazda na... kuli armatniej. Baron Hieronim w kampanii tureckiej postanowił „wglądnąć" do zajętego przez Turków miasta. Miasto jest pod ogniem dział ze stron walczących. Baron wskakuje tedy na co tylko wystrzeloną z armaty kulę, przelatuje nad miastem i korzystając z mijającej go w powietrzu nieprzyjacielskiej kuli, daje na nią brawurowy skok, wracając tym sposobem do swoich. Wszelkie komentarze zbyteczne! — Pewnego razu, w mroźną

Ciąg dalszy na str. 10-tej





„Człowiek na księżycu" założył sobie ogródek, w którym hodował dziwne kwiaty. Zamiast kielichów na łodyżkach kołysały się głowy młodych, cudnej urody, kobiet. Była to jedna z najbardziej osobliwych przygód Münchhausena.

Żądna emocji carowa marzyła o przyżyciu jakiejś niezwykłej przygody. W tym nastroju spotkała się z Münchhausenem i z niewinnego flirtu, jaki się zawiązał między nimi, zrodziła się potem głęboka miłość.



Podczas wojny z sułtanem, jeździł Münchhausen na kuli armatniej by zajęte miasto oblężone przez nieprzyjaciół. Pierwszy wywiad udał mu się nadspodziewanie dobrze. Za drugim jednak razem wpadł w ręce żołnierzy sułtana.

Zdjęcia z filmu Ufy pt.: „Münchhausen". (Münchhausen — Hans Albers, Carowa — Brygida Horney, Sułtan — Leo Slezak, Odaliska — Ilse Werner.)

W czasie pobytu na dworze sułtana Münchhausen zakochał się w najpiękniejszej odalisce, zdobył jej wzajemność i nie zważając na niebezpieczeństwa uprowadził z haremu. Kobieta ta towarzyszyła mu potem w jego podróżach po świecie.





Powyżej: Münchhausen czeka na moment wystrzału armaty. W chwili gdy kula opuszczała lufę, bohater nasz wskoczył na kulę.



Jeszcze jedna niezwykła przygoda Münchhausena. Pewnego razu wściekły pies pogryzł ubrania Münchhausena wiszące w szafie. Ubrania te dostały skutkiem tego wścieklizny i jak szalone biegały po całym domu, tak że Münchhausen musiał je zastrzelić z pistoletu.

Jadąc na kuli, Münchhausen wylądował na wieży twierdzy.



Na lewo: W Wenecji podbił Münchhausen wiele serduszek niewieścich, a z zadrosnymi ich kochankami musiał staczać wiele pojedynków.



Na prawo: W czasie pierwszego spotkania carowa spuściła zdradziecko Münchhausena do lochu przez drzwi ukryte w podłodze. Ale nasz bohater i z tej opresji oswobodził się.

Na lewo u góry: Sułtan w całej swej okazałości i przepychu.

Na prawo: Sułtan z najpiękniejszą kobietą swego haremu. Tę właśnie odaliskę uprowadził Münchhausen z sobą, gdy uciekał z sułtańskiego dworu.





Münchhausen dawał sobie radę w każdej sytuacji i potrafił zawsze dostosować się do okoliczności. W Turcji palił nawet nargile.



Sułtan był wprawdzie muzułmaninem, lecz mimo to doskonałym winem poczęstował Münchhausena.



zimę, jechał dylizansem pocztowym. Pocztylion wygrywał różne melodie na trąbce, ale nic nie było słychać, bo tony natychmiast marzły. Dopiero, gdy w gospodzie zawieszono róg koło pieca, ten zaczął sam z siebie wygrywać pieśni, odmarzając.

Innym znowu razem wpadł baron wraz z koniem w trzęsawisko. Juz byłby się utopił, ale naptem zdobył się na moment zastanowienia i wyciągnął się własnoręcznie z bagna za czuprynę!

Polując na dziki przy tęgim mrozie, został zagrożonym przez rozwścieczonego odyńca. Co rychło wdrapał się więc na drzewo, uchodząc przed kłami dzikiej świni. Przy wspinaniu się po pniu, wypadł mu nóż myśliwski z kieszeni. Baron spostrzegłszy zgubę, radzi sobie bardzo pomysłowo. Leje wino z manierki na nóż leżący pod drzewem, a wino natychmiast krzepnie w sopel lodowy, przymarzając do noża. Teraz łatwo podniósł go już baron Hieronim do swych rąk!

Szczytem natomiast tym podobnych bredni jest przygoda „księżycowa" barona. Oto baron raz znalazł się na srebrnym globie, przeżywając tam różności. Zapragnął wreszcie powrócić na ziemię. Czeka tedy, by księżyc w swych fazach przybrał widzialny z ziemi kształt rożka, wiąże doń wówczas linę i obsuwa się po niej w dół. Niestety lina okazuje się za krótką. Baron rwie więc wciąż część liny z ponad siebie i dowiązuje do zwisającej pod nim, dostając się wreszcie na ziemię.

W galerii portretów Bodenwerder widnieje baron Hieronim Münchhausen jako piękny, energiczny, silny mężczyzna, o pogodnych rysach twarzy i lekko ironicznym wyrazie fizjognomii.

Opisy jego „kawalerskich dykteryjek" krążyły w czasach mu przytomnych nie tylko w Hannowerze. „Myśliwy na pokaz" stał się głośnym w Europie i nawet poza jej granicami wiedziano o panu baronie Munchhausenie, pogromcy Turków, serc niewieścich, oraz nieustraszonym bohaterze w ogólności.

Że dawne to czasy, a czary i zabobon święciły wiedy swój triumf, nie trudno zrozumieć, iż opowiadania barona i dodawane do nich samorzutnie „uzupełnienia" otoczyły nimbem niemal czarodziejstwa osobę Hieronima Münchhausena — gmatwając do tego stopnia ślad prawdy z wyssaną z palca brednią, że odróżnienie rzeczywistości od utopii stało się, naówczas, rzeczą wręcz niemożliwą. Baron wzrósł w opinii ogółu do rzędu n a d l u d z i, każde jego nowe opowiadanie biegło w świat jako prawda, a entuzjazmowi dla popularnego i wielbionego łgarza nie było końca.

Rzecz naturalna, że na podłożu sławy barona jęła baśń ludowa i ustne podanie budować przedziwne opowieści, fabułę których czerpano już nie tylko z autentycznych opowiadań Münchhausena, ale z niewiadomego pochodzenia „dodatków", a późniejsi pisarze i autorzy mieli niewyczerpaną skarbnicę klecht i bajań do użytku gotową.

Już w połowie ubiegłego stulecia wielu wydawców zwietrzyło dobry interes w popularyzowaniu na swoją rękę przygód Munchhausena, a „trickiem" reklamowym było pomawianie o pokrewieństwo barona ze zmarłym kuratorem Uniwersytetu w Getyndze, skutkiem której to mistyfikacji długo jeszcze angielskie i francuskie nakłady identyfikowały Münchhausena ze zmarłym szambelanem pruskim Augustem v. Münchhausen.

Rudolf Erich Raspe wydał po angielsku Münchhausena, a powodzenie edycji skłoniło nieuczciwych nakładców z nad Tamizy do spekulacji w formie rozpowszechnienia „powiększonego" dzieła o Münchhausenie ze wstępem, objaśniającym publiczność, że chodzi o satyrę na . . . krzykaczy parlamentarnych.

Takie i podobne publikacje łącznie z podszywaniem się pod wyłączność wydawniczą opowiadań — uniemożliwiły w końcu prawa autorskie, a nadużycia i zmiany stworzyły „przygody" nic wspólnego z opowieściami barona nie mające.

Do dzisiaj używanym bywa wyraz „Münchhauzjady" na określenie bezczelnej samochwalby, ubranej w autorytet rzeczywistych wydarzeń.

Nadmienić jeszcze wypada, że opracowanie przygód barona Hieronima pióra poety G. A. Burgera, stało się podstawą wszelkich na ten temat snutych wariantów.

Münchhausen pozostanie po wsze czasy dokumentem mówiącym, że kłamstwo jest stare jak świat, a podane w sposób błyskotliwy i niefrasobliwy staje się ulubioną domeną umysłowego odprężenia, w którym rzeczywistość i fantazja podają sobie ręce dla stworzenia bajkowej krainy dziwów.

KOMPOZYTOR NA OPERZE

Po raz ostatni odwiedził Mozart Berlin w maju roku 1789. Przybył do miasta już o zmroku. Ledwie wysiadł z omnibusu podróżnego i wszedł do gospody, zapytał czy nie ma wieczorem jakiego koncertu.

— O tak — odpowiedział gospodarz, który go nie znał — właśnie otworzono operę niemiecką.

— Tak? A jaki jest program na dzisiaj?

— Uprowadzenie z Seraju.

— Wspaniale — przerwał mu Mozart śmiejąc się.

— Tak, to całkiem dobra sztuka — ciągnął gospodarz dalej. — Skomponował ją . . . zaraz, jak on się nazywa? . . .

Ale już Mozarta nie było, wyszedł tak jak stał w stroju podróżnym. W teatrze stanął sobie w przejściu na parterze, chciał słuchać opery nie zwracając na siebie uwagi. Ale wkrótce muzyka zawładnęła nim w zupełności i zaczął bardzo impulsywnie przeżywać wykonanie poszczególnych scen. Już to był niezadowolony z tempa, już to śpiewacy i śpiewaczki wprowadzali zbyt wiele ozdób do jego melodii. Krótko mówiąc jego udział w grze stawał się coraz to żywszy i sam nie wiedząc kiedy bezwiednie posuwał się ustawicznie naprzód ku orkiestrze. Pomrukiwał przy tym i nucił raz cicho, raz głośniej, tak że w końcu najbliżsi widzowie zwrócili uwagę na niepozornego człowieczka w znoszonym ubraniu i śmiali się z jego gestów. Mozart jednak przejęty grą zupełnie tego nie zauważył. Nadeszła wreszcie partia Pedrilla: „Żywo do walki! żywo do boju! . . ." Czy to była pomyłka w partyturze, czy też jakaś poprawka się wkradła, dość że przy słowach: „Tylko lękliwy głupiec zostanie", które kilkakrotnie są powtarzane, drugie skrzypce zagrały dis, zamiast d. Tego już było dla Mozarta za wiele, nie mógł się powstrzymać i zawołał głośno:

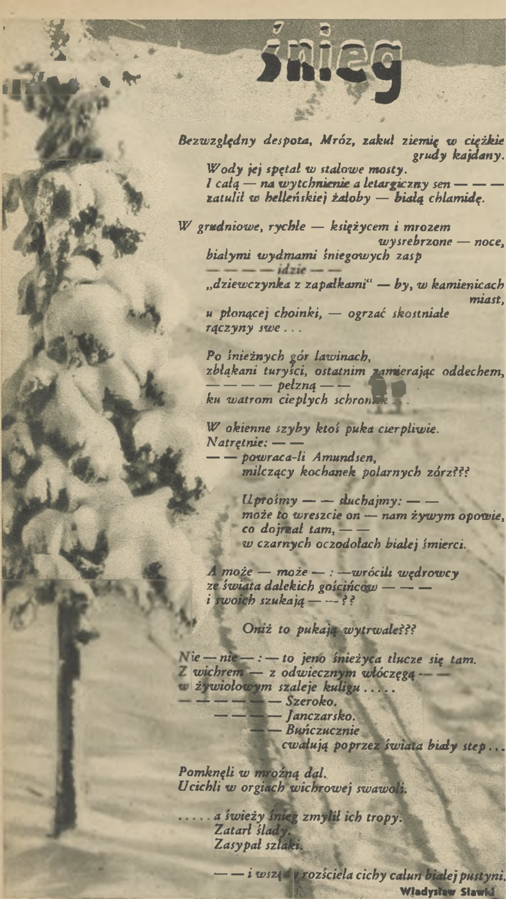
— Do diabła! Możebyście tak d zagrali!

Teraz wszyscy nie wyłączając orkiestry zwrócili uwagę na mąciciela pokoju. Niektórzy z muzyków poznali małego człowieczka i błyskawicznie rozeszła się wieść po orkiestrze, a stąd po całym teatrze, że sam Mozart jest obecny na przedstawieniu. Publiczność urządziła kompozytorowi owację, entuzjazm jej nie miał końca.

Kilku aktorów, a między nimi śpiewaczka Baranius nie chciała za nic wystąpić na scenie. Gdy to Mozart usłyszał pobiegł za kulisy i uspokajał ją tymi słowy:

— Co też pani wyrabia! Wspaniale pani śpiewała, żeby zaś pani mogła następnym razem jeszcze lepiej odśpiewać swą partię przestudiuję z panią tę rolę.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 1?5-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



Śnieg

Bezwzględny despota, Mróz, zakuł ziemię w ciężkie grudy kajdany.
Wody jej spętał w stalowe mosty.
I całą — na wytchnienie a letargiczny sen — — —
zatulił w helleńskiej żałoby — białą chlamidę.

W grudniowe, rychłe — księżycem i mrozem wysrebrzone — noce,
białymi wydmami śniegowych zasp
— — — — idzie — —
„dziewczynka z zapałkami“ — by, w kamienicach miast,
u płonącej choinki, — ogrzać skostniałe
rączyny swe . . .

Po śnieżnych gór lawinach,
zbłąkani turyści, ostatnim zamierając oddechem,
— — — — pełzną — —
ku watrom ciepłych schronisk . . .

W okienne szyby ktoś puka cierpliwie.
Natrętnie: — —
— — powraca-li Amundsen,
milczący kochanek polarnych zórz???

Uprośmy — — słuchajmy: — —
może to wreszcie on — nam żywym opowie,
co dojrzał tam, — —
w czarnych oczodołach białej śmierci.

A może — może — : —wrócili wędrowcy
ze świata dalekich gościńców — — —
i swoich szukają — — ??

Oniż to pukają wytrwale???

Nie — nie — : — to jeno śnieżyca tłucze się tam.
Z wichrem — z odwiecznym włóczęgą — —
w żywiołowym szaleje kuligu . . . . .
— — — — — — Szeroko.
— — — — Janczarsko.
— — Buńczucznie
cwałują poprzez świata biały step . . .

Pomknęli w mroźną dal.
Ucichli w orgiach wichrowej swawoli.

. . . . . a świeży śnieg zmylił ich tropy.
Zatarł ślady.
Zasypał szlaki.

— — i wszędy rościela cichy całun białej pustyni.

Władysław Sławid

RYBKA

HAWI

Do tradycji świątecznej prócz choinki, kartek z życzeniami, podarków dla swych najbliższych, należy również „rybka“. Nie taka zwyczajna ryba „na żydowsko“, lub smażone kotleciki rybne, ale właśnie „rybka“, o której mówi się zawsze, że „chce pić“. A ponieważ primo ryby w ogóle nie potrafią mówić i nie powiedzą nam tego, czy im się chce, czy nie chce pić, a secundo, chociaż by umiały rozmawiać to i tak po zarżnięciu i pokrajaniu na kawałki nie powiedzą ani słowa, więc pan domu (koniecznie!) musi oznajmić swym domownikom ten niepodlegający żadnym zastrzeżeniom pewnik „rybka chce pić!“ Największe pragnienie zdradza ta właśnie świąteczna rybka tuż przed wigilią. Pan domu postępujący w myśl przykazań bożych „głodnego nakarmić, ubogiego przyodziać, spragnionego napoić“, stara się w tym okresie o to, ażeby „rybka“ nigdy nie czuła pragnienia. Co czuje biedna „rybka“ nie wiem, ale dla nikogo nie jest tajemnicą, że pan domu po tej miłosiernej przysłudze odczuwa coraz to większe pragnienie, którego nie da się łatwo „ugasić“. Gdy wreszcie zapomni na chwilę o swych samarytańskich obowiązkach względem spragnionej „rybki“ i wróci (najczęściej przed samą wieczerzą wigilijną) w domowe progi, otrzymuje od małżonki zamiast pochwały za swój czyn, grad słów, w których co drugie słowo powtarza się „pijak“, „łajdak“ czy „moczygęba“. Nieraz, gdy pani domu jest zbyt zdenerwowana, zamiast gradu słów, spada na „nieszczęśliwą ofiarę miłosiernych uczynków“ grad mniej lub więcej ciężkich przedmiotów, od baniek choinkowych aż do półmisków z czerwoną kapustą włącznie.

Niektórzy udają, że ich nic nie obchodzi to przepotężne pragnienie biednej „rybki“ i starają się oszukać spragnioną, nieszczęśliwą biedaczkę rożnymi innymi nieszlachetnymi napojami. Myślą może, że „rybka“ się na tym nie pozna. Ale gdzie tam! Jeden jest tylko środek od wieków już wypróbowany, który może ugasić pragnienie świątecznej „rybki“. A środkiem tym jest czysta jak łza, mocna jak ogień, pachnąca piękniej od wszystkich najcudniejszych zapachów na świecie, chłodna jak usta dziewczyny, wlewająca w żyły lawę — wódeczka!

— — — — — — — — — —

Grono miłych i sympatycznych panów, w różnym wieku, różnych stanów i różnych temperamentów, od samego rana spełniało miłosierny uczynek i poiło spragnioną „rybkę“. „Rybka“ była na pewno zadowolona, gdyż pływała w „ognistej wodzie“ swobodnie, a choć nie mogła nurkować, nie przejmowała się tym zbytnio. Panowie też byli zadowoleni, wspominali sobie miłe przeżycia (jeszcze z kawalerskich czasów) i ani się nie spostrzegli, jak na niebo wyszła pierwsza gwiazdka.

— Muuuszę juuuż iść doo doomuuu . . . — rzekł pan Hipolit i wstając z krzesła, zaczął się żegnać z kolegami.

— Zaczekaj, uhm, Hipolicie . . . to, uhm, odprowadzimy cię, uhm, do domu . . .

— Nieee możeeeciee mniee odprowaaadzaać, bo gdyybyy waas mooja Anieeelciaa zoobaczyyłaa, too miaałbym sięę z pyysznaa!

— Ale też nie możemy cię tak zostawić samego . . .

— Noo too idziemy . . .

I grono miłych, sympatycznych panów wyszło chwiejnym krokiem na ulicę.

— Nnna prrawo, czy nna lewwwo? . . . — spytał pan Wincenty.

— Aaa gdziee jeesteeśmy? . . .

— Przed bramą . . .

— Nooo too doobrze! Tu właaśnie mieszkam. Dzięękujęę, żeeście mnięę odproowadzili . . . Doowidzeniaa, weesołych i nieetrzeźwych świąt!

— A może to uhm, nie tego, uhm, nie ta kamienica? . . .

— Jaakto nie ta? . . . Zobaaacz numer too sięę przeekonasz . . .

Wprawdzie koledzy pana Hipolita patrzeli z uwagą na numer domu, lecz zdania ich były podzielone.

— Dwadzieścia dziewięć!

— Nie, too jest numer dwudziesty . . .

— Dwudziestka piątka, jak byk!

— Wszystko jedno . . . — przerwał dyskusję pan Hipolit. — Jaa tu właaśnie mieeszkam . . . Oo, taam, naa druugim piętrzee . . .

Raz jeszcze podziękował kolegom za przyjacielską przysługę i wszedł do bramy. Wchodzenie po schodach zajęło mu dużo czasu.

— Dlaaczegoo teeeraz buudują w doomach poodwóójnee schooody? — pytał sam siebie. — A mooże tee drugiee sąą dla tyych, coo chcą zeejść na dóół? . . . ahaa . . .

Dotarł wreszcie do drzwi na drugim piętrze i zaczął szukać klucza.

— Gdziee go mooglem zguubić? Przeeciez niee jesteęm wcalee pijanyy . . . A mooże zostaawiłem go w domuu? W taakim raziee drzwii musząą byyć otwaarte!

Nacisnął klamkę i rzeczywiście! Drzwi ustąpiły i pan Hipolit wszedł do przedpokoju.

— Coo zaa pomyysły maa mojaa żoona . . . — zdziwił się. — Kupiłaa soobie na święęta luustroo! Poo coo jej too lustro? . . .— A tuu znóów jakiś stoolik . . . Ej, zbyytki trzyymająą sięę jej głoowy! . . . Alee dlaaczegoo niee chcee przyywitać sięę zee mnąą? Gnieewa sięę? . . . Muuszęę więęc jąą przeprosić . . .

Chwiejnym krokiem przeszedł przez przedpokój i nagle zdrętwiał.

Na wieszaku wisiał kapelusz i palto męskie.

— Coo? Zdraadza mnięę?! Ooo, jaaszczurkaa!

W przystępie nagłej męskiej energii trzasnął mocno drzwiami i w tej chwili usłyszał miły, srebrzysty głosik:

— Kto tam? To ty Karolu? . . .

Głosik ten dochodził z bardzo bliskiej odległości. Obejrzał się pan Hipolit i w jednej chwili zrozumiał wszystko.

— Ahaa . . . Kąpiee sięę teraaz, a teen gach maa naa imięę Karooll!

Pchnął drzwi, wiodące do łazienki i . . . stanął jak wryty. W wannie kąpała się . . . ale nie jego żona!

— Alboo jeestem pijanyy, alboo mi sięę to wszystkoo śni . . .

Tymczasem kąpiąca się nimfa, zobaczywszy obcego mężczyznę podniosła krzyk:

— Jak pan śmiał tu wejść! Szczyt bezczelności . . . Zawołam policję!!

Pan Hipolit przetarł oczy i patrzył z największym, niewypowiedzianym podziwem na kąpiącą się rusałkę.

— Ryybka w waannie! — wyszeptał. — A too wspaniaała niespodzianka świąąteczna . . .

ROZMAITOSCI

ŚMIERĆ PODCZAS CEREMONII ŚLUBNEJ

Mała tragedia zdarzyła się przy ceremonii ślubnej w Zwolle (w Holandii). W czasie ślubu organista grał na organach. Nagle muzyka została przerwana, a po skończonej ceremonii znaleziono głowę organisty leżącą na klawiszach. Przybyły lekarz mógł tylko stwierdzić śmierć.

TYLKO PODCZAS ŚLUBU

W Indiach jest zwyczaj, że narzeczona tylko raz w życiu nosi swój pierścień zaręczynowy w czasie ceremonii zaślubin. Po zawarciu małżeństwa topi się pierścień i sporządza z niego inną ozdobę.

KSIĄŻKA DLA 100 CZYTELNIKÓW

Nic dziwnego, że większość powieści, nowel, opowiadań, dramatów, poezji, pieśni, oper, operetek, ba i obowiązkowo romansów, a nawet bajek o tyle zajmuje przewagę czytelników, o ile akcja ma za podstawę miłość, dokładniej intrygę i miłość. Przeżywa ją bowiem w najrozmaitszych postaciach każdy. I właśnie poszczególni osobnicy w tej pielgrzymce ku szczęściu przekonani są, że to uczucie jest o 1000 twarzach, że dla każdego inne, że inaczej osobiste, jednym słowem wciąż nowe i odradzające się bez znudzenia.

Znalazł się jednak autor, który do tego ogólnoludzkiego zagadnienia podszedł pod naukowym, a raczej psychologiczno-krytyczno-biograficznym kątem widzenia i stworzył studium, a nie romans, zatytułowane „Miłość“, — książkę o 529 stronach, bez żadnego powodzenia, jak to sam w przedmowie stwierdza.

Był nim Henryk Beyle (de Stendhal), znany w artystyczno-filozoficznym świecie.

Wspomniane wyżej dzieło liczy 100 lat.

Oto miniaturowe charakterystyczne wyjątki, w opracowaniu.

KONAR SALZBURSKI

Do wykopanych szybów w kopalniach soli w Hallein koło Salzburga wrzucają górnicy konary bez liści.

Po dwóch lub trzech miesiącach wydobyte konary są pokryte lśniącymi kryształkami, tworzącymi diamentową inkrustację. Lśnią one wspaniale w świetle słońca i wręczane są podróżnym, zwiedzającym kopalnię.

Trudno w tej brylantowej zabawce, tak zdobnej przez krystalizację, poznać poprzedni nagi konar.

De Stendhal wyprowadza z tego analogię w miłości. Osoba poznana o ile zrobi wrażenie, pod wpływem narodzin miłości zdobna jest w tyle przymiotów w oczach kochającego, ile uroku posiada strojny konar, wydobyty po krystalizacji z głębin kopalni.

Podobnie jak przy konarze, występuje tu też pod wpływem działania umysłu krystalizacja, który to termin wprowadza Stendhal jako nowy.

O TRYBUNAŁACH MIŁOSNYCH

Zawiłe sprawy miłosne w rodzaju:

„Czy może istnieć miłość między ludźmi związanymi małżeństwem?“ lub

„Kto jest godniejszym kochania, czy ten który szczodrze daje, czy ten, który daje wbrew woli, żeby tylko za hojnego uchodzić?“ roztrząsały miłosne trybunały żeńskie we Francji. — Wspomina o nich kapelan króla francuskiego Andrzej, jako też przytacza 31 artykułów ówczesnego kodeksu miłosnego, ogłoszonego przez Trybunał złożony z wielkiej ilości pań i rycerzy.

Motywy wyroków owych trybunałów obu instancji, respektowane przez arystokrację francuską, oparte były na regułach niżej podanych artykułów.

KODEKS MIŁOSNY DWUNASTEGO WIEKU

Małżeństwo nie jest wymówką dostateczną przeciw miłości.

Kto nie umie taić, nie umie kochać.

Nikt nie może wiązać się dwojaką miłością.

Miłość zawsze może róść i maleć.

Nie ma smaku to, co jeden kochanek bierze siłą od drugiego kochanka.

Mężczyzna zazwyczaj kocha dopiero, gdy mu pełna męskość zakwitnie.

Z powodu śmierci kochanka przepisuje się dla drugiego wdowieństwo dwuletnie.

Nikt bez nadto dostatecznej przyczyny nie śmie być pozbawiony praw miłosnych.

Nikt nie może kochać, kto nie ujęty został nadzieją wzajemnej miłości.

Skąpstwo wygania zazwyczaj z domu miłość.

Nie przystoi kochać tej, której by wstyd było pożądać w małżeństwo.

Prawdziwa miłość wówczas jeno odczuwa żądzę pieszczot, gdy te pochodzą od tej, którą się miłuje.

Miłość powszechnie znana, rzadko długo trwa.

Zbyt szybkie powodzenie wkrótce odbiera miłości wszelki urok, przeszkody większą jej wagę dają.

Ktokolwiek kocha, blednie na widok tego, co miłuje.

Kto niespodzianie ujrzy przedmiot miłowany, drży w sercu.

Nowe miłowanie odgania dawną miłość.

Zasługa jeno czyni godnym kochania.

Miłowanie, które gaśnie, opada szybko, a rzadko się roznieca na nowo.

Zakochany zawsze jest bojaźliwy.

Przez prawdziwą zazdrość uczucie miłosne zawsze wzrastało.

Z podejrzenia i z zazdrości, która zeń wyrasta, wykwita uczucie miłosne.

Mniej sypia i jada ten, kogo obsiadła myśl kochania.

Wszelki uczynek kochanka kończy się myślą o tym, co miłuje.

Prawdziwe miłowanie znajdzie dobro jeno w tym, o czym wie, że miłe jest w oczach przedmiotu ukochanego.

Miłość niczego odmówić nie może miłości.

Kochanek nie może się nasycić rozkoszą kochania.

Słabe przypuszczenie sprawia, że kochanek podejrzywa rzeczy straszne w tym, co umiłował.

Nie zwykł kochać ten, kogo zbytnia rozkosz udręcza.

Zwyczaj odurzania się nadmiernego rozkoszami przeszkadza zrodzeniu się miłości.

Osoba miłująca zajęta jest ustawicznie i bez przerwy obrazem tego, co ukochała.



jak powstał śnieg



Robiło się coraz zimniej. Przyszedł na ziemię Listopad, wraz z nieodłącznym towarzyszem Przymrozkiem, pierwszym gońcem królowej Zimy i jej małżonka Mrozu. Wspólnymi siłami niweczyli piękne dzieło Jesieni, by nie widziała go nadchodząca Zima, która sama zła, zimna i ponura, nie chce widzieć niczego co dobre, ciepłe i pogodne.

A więc Listopad targał nielitościwie złote korony drzew rzucając z pasją w błoto, ślicznie malowane liście. Nagie zaś drzewa smagał zimnym wiatrem, niby rózgami. Trzeszczały z bólu i skargi stare konary, chyląc ku ziemi sędziwe głowy, dumne stuletnie dęby błagały litości. Daremnie!

Przymrozek znów rankiem i wieczorami rozścielał po łąkach i ogrodach sine, zimne chusty Szronu, przyzwyczajając rzekomo tymi zimnymi kompresami ziemię, do mającego nastąpić Mrozu; w rzeczywistości niszczył ostatnie ozdoby Jesieni — kwiaty.

Biedne dzieci szły do szkoły skurczone i zziębnięte, a złośliwy Wiatr, igrając z ich płaszczykami przebiegał dreszczami po całym ciele. Płakały Niebiosa rzęsistymi łzami deszczu, nad tym dziełem spustoszenia na Ziemi.

Aż ulitował się dobry Bóg, bo żal Mu było tej udręczonej Ziemi, a już najbardziej to tych biednych zmarzniętych dzieci. Zawołał świętego rycerza Marcina, dał mu olbrzymi wór skubanego pierza i puchu polecając corychlej zawieźć to na Ziemię, dla biednych dzieci na pierzynki.

Wziął św. Marcin rączego rumaka z długą białą grzywą z niebiańskiej stajni, przerzucił wór przez plecy i jedzie! Ujechał już spory kawał drogi, gdy zaczepił go, błąkający się zazwyczaj bez celu Wiatr. Bezceremonialnie chwycił rumaka za grzywę zmuszając go do szalonego pędu, bo jak mówił, Pan Bóg, polecił mu poganiać go i jechać chyżo.

— Ale chyba nie w takim tempie — odpowiedział święty rycerz. — W tym galopie gotowym jeszcze zgubić niebiański ładunek"!

— Ładunek? — zapytał ciekawie Wiatr, teraz dopiero spostrzegając olbrzymi wór na plecach Świętego. — A co Ty tam wieziesz na Ziemię w tym worze? — dopytywał dalej.

— Pióra dzieciom na pierzynki — odpowiedział święty Marcin.

— Pióra? A co to takiego? Nie widziałem jeszcze nigdy, pokaż jak to wygląda? — kłamał naiwnie wszędobylski Wiatr usiłując rozwiązać worek.

— Zostaw bo rozsypiesz! — krzyknął ostro Święty, a widząc już nie daleko Ziemię, podciął rumaka i szarpnął energicznie worek, usiłując wyrwać go z rąk przekornego Wiatru. Ten ostatni pociągnął w swoją stronę i naraz . . . trach!!! Worek pękł, a pióra frunęły w powietrze.

— Cóżeś zrobił dobrego niegodziwcze! — wołał zmartwiony Święty. — Jak ja teraz pozbieram — mówił dalej, próbując łapać latające roje.

— Ha, ha! Pozbieram! — śmiał się złośliwie Wiatr, który z małego jeszcze, miłego wiosną Zefirka, wyrósł na niedobrego, psotnego chłopaka. — Czekaj ja ci pomogę zbierać — i mówiąc to dmuchał z całej siły potrząsając równocześnie pozostałą zawartością wora, aż wysypał wszystko. Pogwizdując wesoło, zadowolony z uczynionej psoty igrał dalej z fruwającymi piórami.

— Nic się nie martw, dzieci pozbierają sobie pióra na ziemi — pocieszał zafrasowanego św. Marcina.

Naraz stała się rzecz straszna! Tańczące w powietrzu płatki puchu przemieniły się pod wpływem zimnych podmuchów Wiatru, na zimne mokre płatki śnieżne i opadły na Ziemię.

Takiego końca zabawy nie spodziewał się Wiatr. Wszak nieraz igrał na ziemi z piórami, ale te niesione Wiatrem nawet najdalej pozostały zawsze piórami. Widocznie te pióra ze skrzydeł Aniołów mają jakąś czarodziejską moc.

— Co teraz będzie? — łamał sobie z kolei ręce zafrasowany Wiatr. — Chwytać je? Niepodobieństwo!

Chwilę medytował bez ruchu po czym odwrócił się na pięcie i pomknął chyżo w przeciwną stronę.

A biedny św. Marcin, z ociąganiem wracał do Nieba. U wrót Niebieskich, spotkał staruszka z brodą św. Mikołaja, który na skrzydłach Aniołów-Stróżów, leciał na Ziemię, by grzeczne dzieci obdarować zabawkami i łakociami.

Opowiedział św. Marcin swą smutną przygodę, szukając rady u mądrego sędziwego starca, skarżąc się, że najbardziej mu żal, że te biedne dzieci nie będą miały ciepłych pierzynek.

— Wszechmogący Bóg wie już o twej przygodzie — odpowiedział św. Mikołaj.

— On to przemienił puch w śnieg, bo w swoich boskich zamiarach przewidywał potrzebę ciepłej zimowej pościeli dla całej Ziemi i dlatego zesłał śnieg. A chcąc ukarać Wiatr za jego zbytnią ciekawość uczynił to za jego pośrednictwem, by cudem tej przemiany zatrwożyć niegodziwca. Ty ruszaj śmiało naprzód! Sprawiedliwy Pan nie widzi twojej winy, lecz dobre chęci. O dzieci się nie frasuj; pomyślałem dla nich wprawdzie nie o pierzynkach ale o ciepłych szalikach, sweterkach, rękawiczkach itd. Z tymi słowami oddalił się św. Staruszek.

Po kilkudniowej bezcelowej włóczędze po świecie, drżąc ze strachu stanął winowajca — Wiatr przed obliczem Boga — Sędziego. Długo wywodził swoje żale i skruchy, zwalając wszystko na karb wrodzonej psotliwości.

Wysłuchał cierpliwie Stwórca tej przemowy, osądził winę i wydał wyrok, a raczej darował psotnikowi winę.

— Dziś dzień św. Mikołaja — powiedział Pan Bóg. — Z mojego polecenia wszystkie grzeczne dzieci, a nawet i starsi, otrzymują podarki. W dowód mej łaski, tobie św. Marcinie darowuję białego rumaka. Będziesz odtąd na pamiątkę owej przygody jeździł co roku 11 listopada na ziemię w śnieżnych obłokach. Ty zaś Niecnoto na żaden podarek nie zasłużyłeś, ale jeśli tak lubisz igrać z płatkami śnieżnymi, to igrajże sobie dowoli. W czasie królowania na Ziemi, Zimy z mojego rozkazu, będą Aniołowie wymiatać resztki piór z kątów niebiańskich komnat, by lecąc na Ziemię w postaci śnieżnych gwiazdek, otuliły ciepłą pościelą całą Ziemię. Zabawy więc ci nie braknie. Pamiętaj jednak jedno: nie wolno ci dmuchać i dąć śniegiem w twarzyczki dzieci.

Ale czy Wiatr-Psotnik posłuchał boskiego rozkazu? A może go już nie dosłyszał, roztrzepany Sowizdrzał, mknąc chyżo do ulubionych śnieżnych harców.

Halina Wilczkówna



święta



Zaledwie cudnie białe, świeże, pierwsze śniegi
cicho siadły na polach, na domach i płotach
Matka Boska rzuciła w aniołów szeregi:
— Biegnijcie i poproście tu świętego Piotra! —
Rozpierzchły się anioły, niby rój motyli.
Znalazły go nad świętą niebiańską agendą
w której miał zapisane — i czytał w tej chwili —
że za dni kilkanaście wszak już święta będą.
— Kluczniku! — zawołały aniołki z daleka —
Chodź zaraz! W swej komnacie nasza Pani czeka!
Podrapał się w łysinę sędziwy staruszek
i rzekł: Ano, już idę, idę! skoro muszę . . .

Podreptał. A pęk kluczy u pasa mu dzwonił
jak dzwonki najwdzięczniejsze na święte nieszpory.
Wszedł. Niebios Pani w progu nisko się ukłonił:
— Jestem oto, Twój każdy rozkaz spełnić skory! —
Powitała go Matka Boża uśmiechnięta
i nie zwlekając długo, mówi, o co chodzi.
Pokazało się właśnie, że jej szło . . . o święta!
więc aniołek-posłaniec w sam raz mu przeszkodził.
Jęli tedy pospołu myśleć i planować
i w dwie godziny sprawa była już gotowa.

Wyszedł Piotr święty wydać dyspozycje wszystkie,
a Panienka znów siadła wśród gromady świętych,
Dowiedziały się zaraz anioły Jej bliskie,
że nawał prac świątecznych został rozpoczęty
i że każdy otrzyma z rąk świętego Piotra
swe zajęcia i prace, które spełnić musi.
Ale długo nie mogła ta rozmowa potrwać,
bo mały Jezus przybiegł do swojej Mamusi
więc urwano w połowie, bo wszyscy wiedzieli,
że będzie dla Jezuska niespodzianek wiele:



Jakoż dwoje aniołów doświadczonych bardzo
zawiesiło aparat filmowy na plecach.
A chociaż aniołowie ciekawością gardzą,
ogromnie ich ta misja Kolegów podnieca,
bowiem schodzą na ziemię, wypełnić rozkazy,
które im Panna święta szepnęła do ucha.
Wszystko spełnić przyrzekli wiele — wiele razy . . .
— i strunęli do ludzi, zlecenia usłuchać.
Święty Marcin swym koniem też jedzie na ziemię,
kupić mąkę i cukier, mleka ze sto baniek,
kadź miodu na pierniki i wszystkie korzenie. —
Zaraz na Mleczną Drogę wytoczono sanie,
dwa aniołki też siadły (jadą do pomocy)
święty cmoknął — i biały koń pomknął, jak z procy.
— Hej, na ziemię! na ziemię! — święty Marcin śpiewa.

Gwiazdy gasną, śnieg sypie, oni jadą . . . jadą . . .
O!, już ziemia: bo domy, ulice i drzewa!
Tak cudnie, tak wesoło! cóż za wielka radość!
A z domów ze szczekaniem wybiegają pieski,
kiwając ogonkami do gości niebieskich. — — —

OPOWIADANIE GÓRALSKIE

Jakoś pod koniec adwentu umarł Staszek Marduła, Kurosem zwany. A że żył sprawiedliwie i bogobojnie, więc poszedł prosto do nieba. Wprawdzie zostawił na ziemi gromadę dziecisków i babę, ale cóż miał robić gdy go Najwyższy Gazda powołał do siebie?

Kiedy przyszedł zastał już niebieskie wrota otwarte, a święty Piotr wpuścił go, nie pytając nawet, co on za jeden i skąd przybywa. Toteż Staszek prościutko powędrował przed tron niebieski, pokłonił się pięknie Panu Bogu, ze czcią ucałował błękitny płaszcz Najświętszej panienki, przybrany w złote gwiazdki, a potem — to już swobodnie spacerował i tu i tam po niebie, gdzie tylko zechciał.

A że był galancie odziany, miał nowe białe portki z parzenicami, cuzkę i serdak i na głowie kapelusz góralski z kostkami i gałązką cisową — wszyscy przyglądali się mu z ciekawością i radzi byli pogwarzyć z nim choć trochę.

Toteż niezadługo zaprzyjaźnił się ze wszystkimi naokół, a już najbardziej polubił go sam Klucznik niebiański.

Ilekroć przykrzyło się świętemu samotnie siedzieć przy furcie, odwiedzał go zawsze Marduła Staszek i śpiewał mu lub opowiadał bajki góralskie. A umiał ich tyle, że radość była słuchać. O tańcach i muzyce nie potrzebował nawet mówić, bo sam zaraz pokazywał „krzesanego" i „zbójnickiego" i tak śpiewał, że aż święty staruszek uszy zatykał.

Tymi śpiewankami i pogwarkami tak go ujął wkrótce, że ilekroć wzywano świętego Piotra do Pana Jezusa — ten nie wołał nikogo do strzeżenia bramy, jeno Staszka od Kurosów.

— Siedź tu przy wrotach — prosił, klepiąc górala po ramieniu — bo idę na naradę do Pana Boga! A nie wpuść czasami jakiego obwiesia. Jeśli kto przyjdzie, niech czeka na mnie za progiem . . . !

I siedział Marduła pod bramą, trzymając w garści ciężki złoty klucz, dumny wielce, że na jego opiece całe niebo.

— Mój Ty mocny Boże! — wzdychał nieraz — toz to cieszyliby się podhalańcy, gdyby wiedzieli, że ten goral, Staszek Marduła z Podczerwiennego niebieskiej furty strzeże! Że hej! . . .

Co prawda nikt go tam na ziemi nie widział, ale za to koło niebiańskiej bramy stale



W niebie

tekst M. A. HESSEL rys. K. MANN



Tak się działo na ziemi.
A tymczasem w Raju
wszyscy pracy i zajęć pełne ręce mają.
Święta Cecylia w nutach znalazła kolędy,
ćwiczy, gra, biegną dźwięki tędy i owędy . . .
Sam Bóg Ojciec zasłuchał się w te cudne dźwięki.
Tymczasem kilka świętych zmieniło sukienki,
przypasało fartuszki — i dalejże sprzątać!
Natomiast rój aniołów po raju się krząta
i wśród przecudnych świerków szukają takiego,
który byłby dość godny Jezuska małego.



Na niebiańskim dziedzińcu anioł w czoła pocie
czyści „Sidolem" gwiazdy, srebrny sierp księżyca,
myje słonko, odświeża w roztopionym złocie, —
hej, będzie się maleńki Jezusek zachwycał,
bo te gwiazdy, ten księżyc, słońce złotolice,
zamiast baniek zawisną na rajskiej choince.



Archanioł rąbie drzewo w ogromnej ilości,
bo Matka Boża będzie piekła sześć dni z rzędu;
Cherubin w złotym koszu węgiel z piwnic znosi
(w niebie nikt nie próżnuje i nikt nie ma względów);
Serafin własnym skrzydłem piec wymiata wielki.
A Panienka Najświętsza zdjęła aureolę
(by się jej nie zniszczyła . . .) i robi karmelki,
formuje śliczne kulki i kładzie na stole.
W kuchni w ogóle rojno. Oto święty Błażej
zakasał aż po łokcie szaty swej rękawy,
dyryguje świętymi w pracowitym gwarze:
— Teraz wszyscy do pracy! Przyjdzie czas zabawy! —

Zaś najmniejsze aniołki zbierają orzechy
i jabłka w rajskich sadach, pomarańcze, figi . . .
i wiążą je na włóczkach. Rozbrzmiewają śmiechy,
ale wszystko gotowe będzie we trzy migi,
bo wśród piosnek radosnych najlepiej wre praca.
Anioł z dziedzińca przyniósł resztki farby złotej,
na drzewko Jezusowe orzeszki pozłaca — — —
i zanim tydzień minął, skończyły robotę.





Już wrócił święty Marcin i przywiózł, co trzeba.
W olbrzymich dzieżach ciasto aż po gwiazdy rośnie.
Gotuje się wigilia dla całego nieba.
Wszystkim chce się jeść bardzo po zbyt długim poście,
ale nikt nic nie ruszy, aż Najświętsza Panna
własnoręcznie zaświeci pierwszą z gwiazd w ciemności;
skończy się znój przedświętny, praca bezustanna,
i Królowa do stołu na wilię poprosi.

Aż nadszedł upragniony wieczór wigilijny.
Królowa Nieba wdziała błękitną sukienkę.
Przystroili się święci — każdy w kolor inny,
Matuchna Boża synka ujęła za rękę
i wszyscy: aniołowie — i święci — i dusze —
poszli razem do jasnej przeogromnej sali,
której końca nie dojrzysz . . . Na białej poduszce
z atłasu, Pani Nieba opłatek podali,
więc podniósł się Bóg-Ojciec i życzenia złożył
Małce swojego Syna, potem Jezusowi.
Z kolei Matkę swoją uściskał Syn Boży,
a Ona przy opłatku tak do Niego powie:
— Życzę ci synu miły, ażeby świat cały
żył w cudnej świętej zgodzie, tak jak nasze Niebo!
Ażeby szczęście było ludzkości udziałem,
a dobroć, miłość, — serca każdego potrzebą!
Aby nikt się nie kłócił i innych nie krzywdził!
by matki były dobre, a grzecznymi — dzieci!
aby w bajkach był człowiek, który nienawidzi . . .
aby jeden drugiemu jako przykład świecił!!
Niech świat cały owiną Twe maleńkie ręce
jak w najcudniejszą wstążkę — w radosne uśmiechy!
Byś już nigdy nie płakał nad krzywdą dziecięcą!
by cię już nigdy ludzkie nie smuciły grzechy! —

A jako specjalny prezent — i najmilszy —
dostaniesz dziś ode mnie, na pamiątkę wieczną,
utrwalone na zawsze na filmowej kliszy,
życie takiego dziecka, co jest zawsze grzeczne
i posłuszne, a dobre, jak twoje anioły . . .
Puścimy film po Wilii na ekranie świętym!
zobaczysz, jakie było w domu, w murach szkoły;
dla rodziców posłuszne! do nauki chętne,

a tak dobre, że jego serduszko przeczyste
będzie ozdobą Raju czasy wiekuiste!



Jezus mały Mamusi na szyję się rzucił
i całował jej oczy w synowskiej miłości. —
Chór Aniołów przecudnie kolendę zanucił —
wszyscy siedli, pojedli sobie do sytości,

a gdy poszli do rajskiej płonącej komnatki,
gdzie stało strojne Drzewko i świetne prezenty,
Pan Jezus się odwrócił nagle do swej Matki,
do zebranych aniołów i do wszystkich świętych:
„Oto wieczór radości i szczęścia dla dzieci!
Dziękuję Ci, Maleńka, za twą pamięć o mnie,
lecz spójrzcie, ile dziatek biednych jest na świecie,
które dziś będą głodne i smutne ogromnie!
I nigdy może w światłach nie widzą choinki . . .
i nigdy słodkiej strucli mamusia im nie da . . .
I nie dla nich zabawki, ani upominki . . .



bo od kolebki samej wiedzą, co jest bieda!
Dużo dzieci się śmieje — lecz i dużo płacze!!
Więc biegnijcie anioły, co żywo! do ludzi!
Niech każdy do jednego serca zakołacze!
niech je natchnie dobrocią i do czynu zbudzi!
Niech każde dziecko, które ma drzewko i ciastka
podzieli się z biednymi, a zwłaszcza z sierotą!
Będę mu błogosławił! będzie w szczęściu wzrastał
bowiem dobroć dla biednych jest największą cnotą!
A gdy wrócą już z ziemi wysłani anieli
zbierzcie wszystkie sierotki, które są tu w niebie,
bo z każdą chcę się drzewkiem i zabawką dzielić!
Ja sam nie chcę mieć drzewka! Nie chcę nic dla siebie!
bo największa mi radość — z gronem innych dzieci.
Chodź, Mateczko, zapalmy światła na choince!
niech z wysokiego nieba najcudniej zaświeci
każdemu chłopczykowi i każdej dziewczynce" . . .

Uściskała Mateczka najświętszego Syna.
Całowali po nóżkach wzruszeni anieli . . .

A teraz — TY mamusi swej powiedz, dziecino,
z kim się dziś zabawkami i drzewkiem podzielisz???

zbierały się gromady większych i mniejszych aniołów i aniołków, pełnych ciekawości, co też to za chłop zastępuje świętego Apostoła-furtiana.

Rad był okrutnie Staszek z tego zbiegowiska i zaraz zaczynał swoje gadki o Tatrach, o zbójnikach, aż ci skrzydlaci słuchacze otwierali szeroko buzie swoje i tamowali dech w piersiach, byle tylko nie stracić i nie uronić ani jednego słowa z ciekawych opowiastek . . .

A czasem — to i sam Pan Jezus spacerując po niebie, zatrzymał się obok i z ciekawością przysłuchiwał się także Mardułowym opowiadaniom, uśmiechając się słodko do górala — i nawet nie wymawiał świętemu Piotrowi, że człeka choć zbawionego, przy wierzejach niebieskich za odźwiernego stawia.

No i dobrze było Kurosowi w onej szczęśliwości wielkiej i w poważaniu u anielskich zastępów. I choć swoją ziemię całe Podhale ogromnie kochał, przecież za łaską boską, jako że był zbawiony, tęsknoty żadnej nie czuł.

Aż raz kiedy zaszedł do świętego Piotra na posiady i naprawił mu wiele historyjek znużony słuchaniem staruszek powiada:

— Posiedź nieco przy bramie i pilnuj dobrze, a ja tymczasem zdrzemnę się trochę, bom bardzo zmęczony i senny! . . .

— A i owszem! — odparł zadowolony Staszek. — Zresztą nie wiadomo czy kto przyjdzie, bo mało takich, co to po „śmierzci" idą prosto do nieba!

W tej chwili pomyślał o sobie, że jest właśnie owym szczęśliwcem, ale wstydził się jakoś o tym powiedzieć. Uszczęśliwiony wziął tedy ciężki złoty klucz i podążył ku furcie. Tutaj siadł sobie, wsparł głowę na dłoni i zadumał się. I wtedy to — po raz pierwszy — dziwna jakaś tęsknota ogarnęła jego serce.

Zapragnął wiedzieć co słychać w nizinach pod Tatrami: czy bardzo opłakuje go baba czy dzieciska zdrowe — słowem, pociągało go coś za zagrodą, za rodziną, za swoimi! . . .

Naraz drgnął. Skądś z dołu, spoza furty, doleciał do uszu jego krótki stłumiony krzyk. Marduła poderwał się się z miejsca, jak oparzony, i ściskając klucz w dłoni, doskoczył do bramy. Tutaj poprzez złotą kratę spojrzał w dół, ku ziemi . . .

I o mało, że się nie zatoczył i nie upadł z przerażenia. Dobrze, że w porę chwycił się za wielką klamkę u wrót niebiańskich.

Oto — najwyraźniej pośród nocy — zobaczył swoją wieś i kilku chłopaków, idących drogą z „gwiazdą" i z turoniem. A w tym ostatnim przebierańcu — po jego długich nogach i dziurawym prawym bucie — poznał swojego najstarszego syna, Jędrka. Z jego to właśnie piersi wydarł się ten krótki krzyk, bowiem opadły go na drodze dwa psy owczarskie i jęły tarmosić za łydki i szarpać płachtę, którą był nakryty.

Pozostali chłopcy z „gwiazdą" zdążyli w porę umknąć i ukryć się. Zakipiała krew w góralu . . .

Jakożto? Tam Jędrzek ognać sie nie moze, psy go tarmosom — a on, ociec, patrzy haw i nie może nic mu pomóc? . . .

— O raty! nie ścierzpiem! — jęknął Marduła i nim któreś psisko powtórnie doskoczyło tam do przebierańca, zgrzytnęły wrzeciądze, uchyliła się błyskawicznie furta niebieska, ktoś wysunął się za próg, a ciężki złoty klucz tylko gwizdnął w powietrzu!

Wprawdzie krzyk chłopca więcej się już nie powtórzył, ale tejże samej chwili z wielkim szumem i łoskotem, niby podczas halnego wiatru, zatrzasnęła się brama wiodąca do wiecznej szczęśliwości i Staszek od Kurosów ostał sam, samusieńki poza wrotami i złotą kratą . . .

Oj żałował później srodze, że dał upust swej popędliwości, ale było już poniewczasie.

Po dłuższej chwili wpuszczono go co prawda znów do nieba, ale odtąd święty Piotr więcej już nie wołał Marduły do siebie na posiady i nie powierzył mu ani razu złotego klucza od wrót niebieskich.

E. K.





„POD CHOINKĄ"
OBRAZ ZOFII STRYJEŃSKIEJ

KĄCIK KARYKATURZYSTY



— Bardzo przepraszam, panie szefie, że się trochę dzisiaj spóźniłam do biura. Ale to tylko dlatego, że dzisiaj nie szłam jak zwykle piechotą, lecz jechałam tramwajem!...

Rys. J. Buczkowski — Kraków

•

Nauczyciel: — Powiedz mi Jasiu, co to znaczy, gdy barometr spada?
Uczeń: — Znaczy, że gwóźdź był słabo wbity, panie psorze.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR 35

Pozycja z partii Nr. 20

Czarne: Kg8, Hf4, Wa8, Gc6, Sf7, piony: a7, b6, c5, f5, g6, h7 (11).
Białe: Kh1, He1, Wd7, Gb2 i e2, piony: a2, b3, g2, h2 (9).
Białe na posunięciu rozstrzygnęły partię w piękny sposób.

Rozwiązanie 2-chodówki z nru 34
(Arłamowski)

1. S—h5!

PARTIA NR 33

Białe: Keres — Czarne: Bogoljubow
grana w turnieju w Salzburgu w r. 1943.
Obrona sycylijska.

1. e2—e4 c7—c5
2. Sg1—e2 e7—e6
3. d2—d4 c5×d4
4. Se2×d4 Sg8—f6
5. Sb1—c3 d7—d6
6. g2—g4 [1]) Sb8—c6
7. g4—g5 Sc6×d4 [2])
8. Hd1×d4 Sf6—d7
9. Gc1—e3 a7—a6 [3])
10. Gf1—e2 Hd8—c7
11. f2—f4! b7—b6
12. f4—f5 [4]) Sd7—e5
13. f5×e6 f7×e6 [5])
14. a2—a4 Gf8—e7 [6])
15. h2—h4 Hc7—c5 [7])
16. Hd4—d2 Hc5—c7
17. Wh1—f1 Gc8—b7
18. Ge3—d4! Wh8—f8 [8])
19. 0—0—0 Wf8×f1
20. Wd1×f1 Ge7—d8 [9])
21. Hd2—f4 Se5—g6
22. Hf4—g4 Hc5—e7 [10])
23. Hg4—h5 e6—e5
24. Gd4—e3 Gd8—c7
25. Hh5×h7 Sg6—f4
26. Ge3×f4 e5×f4
27. Ge2—h5+ Ke8—d7
28. Gh5—g4+ Kd7—c6
29. Hh7—f5 b6—b5
30. Hf5—d5+ Kc6—b6
31. Hd5—d4+ Kb6—c6
32. Sc3—d5 Czarne poddały się.

UWAGI:

1) Posunięcie g4 widzieliśmy już w obronie sycylijskiej, w różnych wariantach w późniejszym stadium, lecz nigdy w tak wczesnej fazie gry. Keres zamierzał prawdopodobnie grać w razie 6... h6 7. g5.
2) Ruch szkodliwy, gdyż rozwija przeciwnika. Należy przypuszczać, że Bogoljubow uważał że w razie 7... S—d7 ruch białych 8. G—b5 byłby dla niego uciążliwym, lecz niesłusznie, ponieważ 8... H—c7 byłoby zupełnie wystarczającym. 7... S—d7 8. Sd—b5 nie dawało powodu do niepokoju: 8... S—b6.
3) Jest to dalsza szkodliwa strata tempa, do czego dołącza się jeszcze osłabienie pola b6, co urasta do nieuleczalnej szkody dla czarnych. Należało grać: 9... S—e5!, aby przeprowadzić ewentualnie skoczka na c6.
4) Białe już rozpoczynają grę na wielką skalę. Oczywiście w razie 12... e×f5 nastąpiłoby 13. S—d5! Mimo dogmatycznych zastrzeżeń przeciw przyzostałemu pionowi d powinne były czarne zdecydować się na 12... e5.
5) Konieczne, gdyż w razie 13... G×e6 zginąłby pion czarny: 14. H×b6 H×b6 15. G×b6 W—b8 16. G—e3 W×b2 17. G×a6.
6) Kontratak na g5. Jeśli 14... W—b8 to 15. h4 G—e7 16. W—f1.
7) Zagrożenie b6 jest zmorą czarnych. Jeżeli 15... W—b8 wówczas 16. W—f1 i król czarnych nie znalazłby spokoju w żadnej roszadzie, gdyż po 16... S—f7 nastąpiłoby 17 H×g7.
8) Gdyby czarne rozcięły teraz węzeł gordyjski przez 18... 0—0—0, to po 19. H—e3 S—d7 20. G—g4 i czarne straciłyby piona przy niekorzystnej pozycji.
9) Ażeby bronić g7 i tym samym uruchomić Se5. I teraz byłoby 20... 0—0—0 błędnym z powodu 21. H—e3 S—c4 22. H—h3!
10) Lub 22... e5 23. H—e6+ H—e7 24. H—g8+ S—f8 25. G—e3 ze wzrastającym sparaliżowaniem pozycji czarnych.

— Powiedz mi Mieciu, jak podoba ci się moja nowa suknia?
— Wspaniała, tylko za bardzo przypomina mi płot.
— Dlaczego, nie rozumiem?
— Bo widzisz, ona cię chroni, a jednak wszystko przez nią widać.

•

— Czy ty naprawdę zakochałeś się w Lili od pierwszego spojrzenia?
— Ja zawsze tak robię, to mi zaoszczędza dużo czasu.

•

— To jest naprawdę dobry zegarek. Chodzi czternaście dni bez nakręcania.
— A jak długo będzie chodził po nakręceniu?

•

Hela czytała w biurze powieść. W tej chwili wszedł nagle kierownik oddziału, więc Hela prędko siadła na książce. Ale rożek jeszcze wyglądał spod sukienki.
— Niech mi pani powie — zwraca się do niej szef, który to zauważył — jak pani potrafi w ten sposób czytać?

•

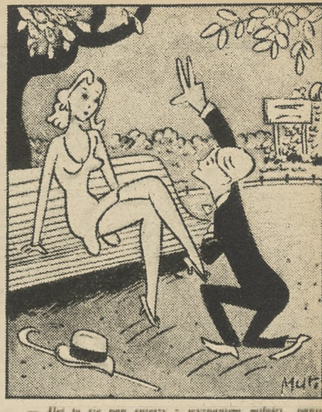
— Droga Zosiu! — pisał pewien młodzieniec. — Przebacz mi te słowa, ale mam jak wiesz krótką pamięć. Oświadczyłem ci się wczoraj, ale... doprawdy nie pamiętam, czy powiedziałaś tak, czy nie...?
— Drogi Józku! — odpisała niezwłocznie. — List twój mnie wielce uradował. Pamiętam, że przyrzekłam wczoraj komuś rękę swoją, zapomniałam tylko przez roztargnienie, komu. Teraz wszystko w porządku.

•

Ciaputkiewiczowa puka do drzwi lokatora:
— Panie Gladziński, bój się pan Boga, co pan wyrabia?
Sublokator: — Nic, ćwiczę się w grze na skrzypcach.
Ciaputkiewiczowa: — Chwała Bogu! Myślałam, że pan odpiłowuje nogi od mego stołu.

•

Matka: — Wstydź się Zosiu! Jak można spać do 11-tej? Słońce świeci ci już w same oczy.
Córka: — To niech mama spuści storę.



— Ależ to się pan spieszy z wyznaniem miłości, panie Stefanie.
— Tak, bo widzi pani, chciałbym, abyśmy doszli do porozumienia zanim nastąpi zaciemnienie.

Die Grüne Post

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

EWIE W UPOMINKU

Gdybyś była Ewo — nie poszła pod drzewo
Na którym wąż siedział,
Byłby świat w swych nudach — o miłości cudach
Do dziś nic nie wiedział.

Śmiem twierdzić niezbicie — że głupio by życie
Nasze wyglądało . . .
Nikt by tajemnicy nie odkrył przyłbicy:
Na co człek ma — ciało.

Nie zaznałby czarów — ni miłości darów
Człowiek na tym świecie . . .
Nikt by nie znał cnoty — ni nie miał ochoty
Znać, co jest w kobiecie.

Nie byłoby zdrady — ni małżeńskiej zwady
Ni mężów z rogami,
Świat całkiem dziwnymi — bardzo naiwnymi
Kroczyłby drogami.

Któż znałby rozwody — różne damskie mody,
Któż chciałby się żenić? . . .
Nikt kobiecych wdzięków — udanych łez, jęków
Nie umiałby cenić.

I okropnie nudne — do zniesienia trudne
Byłoby nam życie,
I chętniej by ludzie — szczęścia po tej nudzie
Szukali w niebycie.

Więc dzięki ci Ewo — żeś poszła pod drzewo
Wiadomości złego
Bo przez cię niemało — uciech się dostało
Dla rodu ludzkiego.

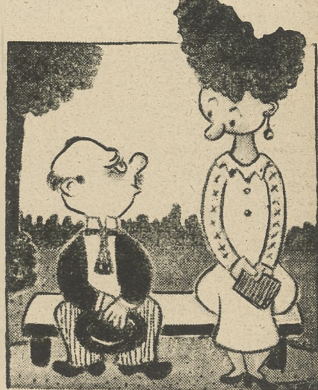
Wiernych cór twych grzechy — dość dają uciechy
I sensacji wszędzie,
Więc ród męski stale — ci ku wiecznej chwale
Dzięki składać będzie.

PUSTKA

Na wiele spraw Ci kobieta dziś przez palce patrzy,
I błąd Twój niejeden chętnie Ci wybaczy . . .
Nie powie nic, gdy zdradzisz się pustką swej głowy,
Płazem Ci puści, gdy zwiedziesz ją pustymi słowy,
Machnie ręką, gdy w sercu Twym obaczy pustki,
Lub gdy w kabzie Twej pustej nie znajdzie ni szóstki . . .
Lecz nie wybaczy Ci nigdy kochanka czy żona
Twej pustki, gdy przytulić chce Ci się do łona.

LIST . . .

Moja Droga!
Wspólnie się zeszły nasze życia drogi,
By był sam na sam nie był nam zbyt drogi . . .
Ale, że widzę teraz, moja Droga,
Żeś mi dosłownie stała się zbyt droga,
Bo koszt zachcianek Twych jest mi za drogi,
Więc dziś rozchodzą się znów nasze drogi
O czym donosi Ci, zawsze
Twój Drogi! . . .



— Dwóch lekarzy już zrezygnowało z wyleczenia mnie.
— Czyżby pan był nieuleczalnie chorym?
— Ach, nie podobnego, tylko żaden z nich nie dostał ode mnie ani grosza honorarium.

Die Grüne Post



— Obudź się, Karolciu! Pończocha już od dawna gotowa.

Söndagsnisse-Strix — Szwecja



— Już od czterech godzin czekam na przebudzenie się tego pacjenta, by mu wreszcie dać proszki nasenne.

Die Woche


WSZYSTKIM WSPÓŁPRACOWNIKOM
I CZYTELNIKOM NASZEGO TYGODNIKA
WESOŁYCH ŚWIĄT
ŻYCZY REDAKCJA